Nr. 5. Lwów, dnia 1. lutego 1892 r. Wydawnictwa Rok XV.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo humorystyczno-satyryczno-literackie, illustrowane.

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a — Dodatek osobny dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

Goniec i **Iskra** wychodzi: 1., 10., i 20, każdego miesiąca, zaś **dodatek osobny** również **illustrowany** 25 każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia illustrowane.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z **osobnym dodatkiem** i **premiami** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Dodatek osobny** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry" kosztuje **10 ct. w. a.** W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australjii innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski

Gdyby...



— Gdzie ty idziesz — gdzie ty idziesz? ty mnie pewno zdradzasz...
— Dlaczego?...
— Nie wiem, ale tak czuję i myślę...
— E, gdybym ja czuł to wszystko, co myślę...
— To co?...
— Tobym wcale nie myślał...

Szczere słowo od Redakcji.

Od października zeszłego roku, zmieniliśmy wychodzenie „Gońca i Iskry" w ten sposób, że wypuszczając numera, co tydzień, w każdą niedzielę, poddaliśmy wydawnictwo pod najcięższy z najcięższych podatków: stempel dziennikarski, wynoszący jeden cent od każdego, drukowanego egzemplarza numeru. Podatek to tak dotkliwy i tak stosunkowo wielki, że żaden potentat kolejowy, liczący swoje czyste zyski na krocie, podobnego podatku, ani w małej części nie płaci. Sądziliśmy jednak, że poddając się takiemu ciężarowi, przybędzie tyle prenumeratorów, iż takowy się zrównoważy. Tymczasem, przez blisko pół roku, takie same dochody, z nieznaczącą zwyżką, jakie mieliśmy, takie mamy: liczba prenumeratorów nie powiększyła się o tyle, co sądziliśmy, a dochód z inseratów i reklam pozostał ten sam. Jaśniej mówiąc, z tego, co nam wydawnictwo „Gońca i Iskry" daje, trzeba mniej więcej 1000 złr. rocznie wziąść z kasy na opłacenie rządowego stempla dziennikarskiego. To dla wydawnictwa jest za dotkliwe. Wina nasza, żeśmy się omylili myśląc, iż dochody z prenumeraty, gdy się zaprowadzi zmianę, zwiększą się, przynajmniej, o tyle, iż pokryją koszta stempla dziennikarskiego — nie stało się tak — i przyszliśmy do przekonania, że, gdy pismo perjodyczne w Galicji przez szereg lat, a jak nasze wydawnictwo przez lat piętnaście rozwinie się do tego stopnia, iż utrwali swój byt i daje potrzebne dochody — dalej po za tę granicę posuwa się tak pomału, iż obciążać wydawnictwo nowymi, a nie przynoszącymi zysku wydatkami, nie można i nie wolno, bo się zepsuje to, co się przez długi przeciąg czasu wypracowało i wymęczyło z tutejszych, powikłanych, apatycznych i nieprzyjających rozwojowi umysłowemu, stosunków. Czasy, zresztą, pod względem materjalnym, stały się tak ciężkie, że, istotnie, w każdem przedsiębiorstwie, trzeba się z najmniejszym wydatkiem rachować.

Nie mogąc, zatem, opłacać dotkliwego stempla dziennikarskiego — z pewnemi małemi zmianami na korzyść prenumeratorów, powracamy do tego, co było, mianowicie: „Goniec i Iskra", przy zachowaniu tego samego programu, wychodzić będzie: 1. 10 i 20. każdego miesiąca, a nadto 25. także każdego miesiąca, rozsełany będzie *osobny dodatek*, również *illustrowany*. Tym sposobem, szanowni prenumeratorowie, pod względem literackiej treści, objętości, illustracyj i rozmiarów wydawnictwa, będą mieli to, co i przedtem, termina tylko wychodzenia numerów i *osobnego dodatku* będą inne, a ten sposób zmiany, ochrania nas od dotkliwej opłaty stempla dziennikarskiego, który dla wydawnictw perjodycznych, pracujących wśród twardych tu-

tejszych warunków, jest poprostu tamujący i ograniczający zwykłe dochody wydawnictwa do tego stopnia, iż każde pismo perjodyczne (nie codzienne), posiadające utrwalony byt wydawniczy i dochodowy, może żyć i pożytecznie pracować, ale musi wychodzić w taki sposób, aby dotkliwego stempla dziennikarskiego nie opłacało, bo się szarpać będzie nie potrzebnie.

Cieszymy się nadzieją, że wkrótce zniesiony zostanie stempel dziennikarski, którego, zresztą, nie ma na całej kuli ziemskiej, z wyjątkiem Austrji — upominają się o to ciągle w Radzie państwa, a skoro pukają — może coś, przecie, wypukają — zanim, jednak, słońce wejdzie, my, przynajmniej, nie chcemy i nie damy rosie, wyżreć sobie oczów.

Kierownik...

Na początku było słowo.

A słowo stało się ciałem, w które Pan Wiekuisty wlał cząstkę ducha własnego i nazwał to ciało człowiekiem.

Z człowieka powstały, niebawem, narody i dobrze im się działo na ziemi, ale żyli co raz gorzej: kłócili się, krzywdzili i nawzajem mordowali.

Pan Wiekuisty spojrzał z żalem na swoje podobieństwo i postanowił nieładowi ziemskiemu zapobiedz.

Wezwał więc córy swoje niebiańskie i począł je wyprawiać na padół niezgody i rozbratu — jedną po drugiej.

Poszła najprzód Miłość na ziemię i zaczęła kierować ludźmi. Poprawił się człowiek rzeczywiście, ale trochę tylko!.. Młody słuchał jej rad z zapałem, stary drzemał przy nich, a znaleźli się i tacy, którzy z miłości kpili i naigrawali się...

— Miłość za dobra, rzekł Pan Wiekuisty — dam jej za towarzyszkę Cnotę.

I Cnota zaczęła kierować. Znalazła ona zwolenników nie mało, lecz i jej nie najlepiej się powiodło.

— Cnota za słaba, mówił Pan Wiekuisty — niech jej Prawda dopomoże.

Poszła Prawda i jeszcze mniej wskórała.

— Prawda za ostra, rzekł Pan — niech się Cierpliwość do niej przyłączy.

I tak z kolei Dobroć, Szczerość, Mądrość, Jedność, Życzliwość, Wierność, Wdzięczność, Skromność i wiele innych cór boskich udało się na ziemię, ale z prac wszystkich, nie było takiego skutku, jak powinno być.

Pan Wiekuisty zadziwił się temu.

— Człowiek pomyślał sobie — jest jedyną istotą na ziemi, której rozum dałem i sam sobą kierować nie potrafi. To smutne, lecz smutniej jeszcze, że kierować sobą nie daje. Co robić?

Zwołał senat Pan Wiekuisty. Archaniołowie, Serafinowie, Cherubinowie zaczęli z całą powagą prawić o powołaniu człowieka i uradzili jednogłośnie, aby Sprawiedliwość zesłać na ziemię.

— Co? zapytał Pan Wiekuisty. — Moją najdroższą, najulubieńszą córkę?

— Tak jest — odrzekli — ona, ani za dobra, ani za słaba — ona stanowcza jest

Więc poszła na ziemię Sprawiedliwość.

Ale niedługo trwało, a Sprawiedliwość powróciła do nieba. Lecz, jak powróciła, w jakim stanie?...

Oto, oczy jej wykłuto, język wydarto, prawe ramię ucięto, a na piersiach, w okolicy serca, wisiała gruba księga.

Oburzył się Pan Wiekuisty i skinął ręką.

Sprawiedliwość napowrót odzyskała wzrok, mowę i ramię, upadła do nóg Ojca swojego i łzy zabłysły w jej oczach...

— Wiem wszystko, dziecię najukochańsze, wiem. To ludzie, niewdzięczni ludzie, tak z tobą postąpili. Niechcieli, abyś widziała, abyś mówiła, abyś dobre wynagradzała, a złe karała. Ale ta księga?

— To ich prawa.

— Niechże sobie sądzą jeden drugiego, jak im się podoba, ale Sprawiedliwość jedyna, prawdziwa — Sprawiedliwość, odtąd tylko w niebie mieszkać będzie. A ponieważ ludzie słabi bez kierownika pozostać nie mogą, będą go mieli, jak sobie sami życzyli.

— Idź ty ślepy, głuchy, niemy niespodziańcze, który mi się w niebie na nic nie przydasz, ruszaj ztąd i rządź człowiekiem aż do sądnego dnia!

Posłuchał, poleciał, jak strzała na ziemie i kieruje ludźmi aż do sądnego dnia, ślepy, głuchy, niemy, niespodziany — Traf.

Faust.

Od ręki.

= Dwa zgony...

Na influencę niby, a właściwie na zapalenie płuc, umarł między innymi, w tych dniach znakomity lekarz paryski Richet, — a umierał dziwnie przytomnie i spokojnie. Czuł on i rozumiał wszystkie przejawy nurtującej go choroby i otaczającym go opowiadał o jej postępach. Po tych objawach, — rzekł w końcu, — śmierć jest już tylko kwestją kilku sekund... Umieram — i rzeczywiście w tej chwili wydał ostatnie tchnienie. Był to istny zgon lekarza filozofa.

Inaczej, ale na swój sposób klasycznie, można powiedzieć, umarł niejaki Tomasz Rockster w West Superior Wisconsin w Ameryce Północnej. Był to skąpiec koronny, który nigdy w życiu nikomu nic dobrego nie zrobił i dlatego też powszechnie był nielubiany. Gdy, jednak, przez kilka dni nie wychodził z mieszkania, zaalarmowani sąsiedzi dali znać policji. Odbito drzwi i znaleziono Rockstera w małej, wilgotnej izdebce, leżącego bez duszy na ziemi. Śmierć musiał mieć względnie przyjemną, gdyż skonał otoczony tem, co jedynie w życiu ukochał: po jednej stronie trupa wznosiły się stosy złota, po drugiej paki banknotów, a dalej porozrzucane były rozmaite walory w papierach. Wszystko razem wynosiło z górą 800.000 dolarów. Za życia nie miał snać serca zniszczyć własnoręcznie tego skarbu; może do ostatniej chwili łudził się nadzieją, że się śmierci jeszcze wymiga; ale znaleziono ostatnią jego wolę, spisaną ołówkiem na strzępku brudnego papieru, w której polecał, na przypadek zgonu, zwłoki swoje wraz z całą pozostałością — wysadzić dynamitem. Podobno nie zawahano się, ani na chwilę i testament ten — pozostawiono niewykonanym... Naturalnie!...

= W szkole.

— Koguciński — kto to był Kolumb?

— A kura — proszę pana profesora!

— Co znowu!? dla czego?..

— Bo zniósł jajo!

— Dla Boga, co ty pleciesz, kto ci to powiedział?...

— Abo tu w „czytance" stoi napisane: „jajo Kolumba wprawiło w zdumienie wszystkich"

— Ej ty ośle, gdyby był kurą, to by przecież nikogo nie zdziwiło, że zniósł jajo...

— Aha już wiem — zdziwili, się, bo to był kogut!

= Między przyjaciółmi:

— Słuchaj, mój kochany — po co ty nosisz coraz inne okulary?

— To pomniejszające i powiększające.

— A to po co?..

— Powiększające do obiadu — pomniejszające do roboty.

Córka Socjalisty.

Powieść z angielskiego.

(Ciąg dalszy — patrz Numer 4).

ROZDZIAŁ IV.

Groza tej śmierci i żal tłumu były tak wielkie, że długo jeszcze trwała głucha cisza.

— Zabił się na miejscu — rzekł ktoś, powtórzono cicho, jak gdyby z trwogą: — zabił się... i tłum stał oniemiały. Dopiero po chwili jakiś głos ozwał się, że jednak, może jest jeszcze jaki ratunek, że trzeba pomocy lekarza i zaczęto podnosić ciało, ale zajmowało się tem tylko kilka osób, reszta była jak gdyby sparaliżowana przez boleść. Biedaczysko... szeptano, kobiety ocierały łzy w milczeniu.

Pułkownik Spilington był między tymi, którzy zajmowali się zabitym. On dźwigał głowę: delikatnie, ostrożnie, jak gdyby to był brat jego rodzony. Zapomniał, że wczoraj oddawał tego człowieka wszystkim djabłom, że ogłaszał się dziś z chęcią zastrzelenia go, jak psa... Może sam nie wiedział, do jakiej ofiary by doszedł, gdyby teraz można go było wskrzesić. Tak nieraz bywa. Nienawiść wre, póki człowiek nie ujrzy w przeciwniku człowieka, bo wtedy staje się w jego sercu coś... coś... czego się nie domyślał, że tam istniało.

Kiedy pułkownik, przyklęknąwszy na jedno kolano delikatnie, podkładał ręce pod martwą głowę, a smutnie przerażony tłum patrzył na to jak w odrętwieniu, nikt nie uważał, nie widział, że lord Lashmar szybko zrzucił z siebie suknie i zaczął próbować tego, co przed chwilą ten biedny nieboszczyk — począł się drapać na mur palącego się domu, choć teraz ogień był jeszcze silniejszy. Okna pękały jedno za drugiem, słychać było powtarzający się huk tego pękania i brzęk lecącego szkła, gdy naraz wydobył się z czyjejś piersi krzyk.

— Ach! — zawołała jakaś kobieta z najwyższem przerażeniem — patrzajcie...

I pokazała ręką na delikatną, szczupłą postać, która już była zawieszona na murze wysoko i widzący to ludzie struchleli i zarazem popadli w niewysłowione podziwienie, bo zdawało się, że jakaś moc cudowna niesie tę śmiałą istotę po murze, z którego każdego załomu, każdego gzymsiku umie korzystać w zadziwiający sposób, naraz poznano po kształcie figury, kto to jest.

— Lord Lashmar! lord Lashmar... przebiegał wśród tłumu głos przelękły, zadziwiony, od wzruszenia drżący. Po tem, co się stało, powtarzać próbę i to nie mając do uratowania tam nic wśród tych murów płonących, najdroższej sercu swemu osoby... O! to był czyn takiego poświęcenia, że większość, patrzących na to, nie umiała go sobie określić.

Kobiety poklękały i zaczęły się modlić, mężczyźni stali, nie śmiejąc oddychać, aż wkrótce spostrzeżono, że młody lord w inny zupełnie, niż Boldwood sposób postępuje.

Aby rozwinąć w sobie siłę i dodać męzkiej energji, oddawał się on codziennie przez godzinę ćwiczeniom gimnastycznym. Od chłopięcych lat tak było; wtedy ojciec czuwał nad tem troskliwie i dawał mu najlepszych nauczycieli gimnastyki, potem już on sam zamiłował to i w Paryżu uczył się jeszcze tej sztuki, pożyteczniejszej, niż się

niejednym zdaje. Sprężystość członków była też u niego niesłychanie rozwiniętą, a delikatny i lekki, miał za sobą wszystko to, co szkodziło nieszczęsnemu Boldwoodowi. Nie ciężyła mu masa jego własnego ciała, a wielka nerwowość potęgowała pod siłą wzruszenia śmiałość i podtrzymywała siłę.

Jaka to była chwila, gdy młody lord ukazał się z dzieckiem na balkonie czwartego piętra, nikt opowiedzieć nie może! Ludzie wyciągali ku niemu ręce, błogosławiąc go. Lecz teraz nie mógł on powrócić tą samą drogą, którą się dostał do nieszczęśliwej sieroty i ktoś dał znać straży ogniowej, co się stało, wzywając pomocy ratunkowych maszyn, któremi rozporządzano. Przy ich pomocy uratowano od tylnej części domu kilka osób, uratowano prawie wszystkie dzieci. Boldwood w namiętnem uniesieniu rzucił się rozpacznie na ratunek swego dziecka, bo cóż, jeżeli biedactwo omdlało z przerażenia i gorąca i nie da znać o sobie głosem, wzywającym ratunku? Dziewczynka tak mało obcowała z ludźmi obcymi, tak była cicha i lękliwa, że mogło się tak stać, a w zamieszaniu okrutnej chwili nie podobna było żądać, aby przeglądano kolejno wszystkie komórki tego ludzkiego ula.

Była jeszcze niewypowiedziana chwila trwogi, właśnie wtedy, gdy przystawiona do muru maszyna ratunkowego kosza zaczęła się dźwigać w górę. Teraz ogień już się zaczął szerzyć na najgórniejszych piętrach, węże płomieni już tam zaczęły się wić i lord Lashmar z dzieckiem na ręku stał teraz oświecony czerwono-ognistą łuną, którą niekiedy mroczyły czarne bałwany dymu, gdy pomoc przybyła nakoniec. Wiadomość kto i jak poświęcił się dla uratowania dziecka, podwajała szybkość w niesieniu ratunku; nie mniej serca musiały jeszcze bić trwogą i niepewnością przez te kilka minut — kilka wieków dla wzruszonej niespokojności, gdy młody lord przytulając pięcioletnią dziecinkę do siebie, odbywał nadpowietrzną podróż. Lecz oto wszystkie usta wybuchają radośnym okrzykiem, bo nakoniec Hubert Lashmar dotknął ziemi.

— Niech ci Bóg błogosławi, milordzie! niech cię Bóg błogosławi! odzywają się głosy wzruszone, a tłum się ciśnie, całuje suknie młodzieńca, chce go wziąść na ramiona i trzeba go bronić od wdzięcznego zapału ludzi, którzy śmieją się i razem płaczą. Pułkownik prawie to samo czyni.

— Ach! młodzieńcze, co ty dokazujesz — woła, a ma taki wyraz twarzy, jak gdyby to mówił do rodzonego syna. — Jesteś mężniejszy od największych zuchów, którzy się rzucają na armaty i dostają potem krzyże za waleczność.

I znowu znikają wszelkie uczucia stronnictw. Najzaciętsi radykaliśli, socjaliści wołają najgłośniej:

— Niech żyje lord Lashmar! Najdłuższego życia lordowi Lashmar?...

Jest on teraz blady i zmęczony, ale nie oddaje nikomu dziecka, które tuli się do niego jak do ojca, przestraszone, blade też z trwogi, nie wiedzące, co się z niem dzieje. Duże, ciemne oczy patrzą przelęknione na krzyczący tłum i gdy kto wyciągnie ku niej ręce, dziewczynka chwyta się szyi młodego lorda, a on czuje, jak biedactwo drży na jego piersi.

Sprowadzają dorożkę; lord Lashmar wsiada najpierw z dzieckiem, potem pułkownik mieści się obok niego i każe jechać do hotelu, gdzie już może czeka powóz przysłany z Lashmar-Castle.

— Co zrobisz z dzieckiem, Lashmarze? — pyta się pułkownik. — Dziś, naturalnie, musi je gdzie utulić żona właściciela hotelu, a potem oddasz je zapewne do jakiego zakładu? Musi tu być jakiś dom schronienia dla sierót?

— Jest, ale to dziecko biedne nie pójdzie tam. Zabiorę je zaraz ze sobą.

— Do Lashmar-Castle? I gdzie je tam podziejesz? Będziesz miał z niem mnóstwo kłopotu...

— A gdybyśmy znaleźli na gościńcu szczenię jakie, czybyśmy je nie zabrali do domu? Z pewnością tak byśmy zrobili; otóż uczynię to samo dla biednej sieroty. Zawiozę ją do Lashmar-Castle i będzie się tam chować.

— Dziecko Boldwooda?

— Tak, dziecko człowieka, który umarł nagle i zostawił sierotę bez opieki i wsparcia żadnego.

— Daruj mi, ale sądzę, że czynisz rzecz mało rozsądną. Krew tego dziecka...

— Jest krwią ludzką, pułkowniku. Wyrwałem sierotę z płomieni nie po to, aby ją rzucić na pastwę życia, gorszego może, niż śmierć, którąby była poniosła w jednej chwili, kończącej wszystko.

— Do mnie już należy — dodał głosem miękkim, tkliwym, przytulając sobie dziewczynkę do piersi i okrywając starannie połą swego paltota. — Pułkowniku, to jest moja zdobycz, może moje jedyne mienie na świecie: z fali przeznaczenia uratowana istota biedna...

Zajechano do hotelu Jerzego. Hotel Jerzego był w Brumm przystanią całej szlachty okolicznej i lord Lashmar znał tu wszystkich i był znany wszystkim od dziecka. Gdy go zobaczono osmolonym, pobladłym, a szczególniej, gdy zobaczono u niego dziecko na ręku, zrobił się rozruch. Nie tylko gospodarz, ale i gospodyni przybiegła do niego:

— Ach! milordzie! — zawołała — co to jest? Jakieś biedactwo z hotelu Goldwina? Może jest sierota?

— Tak, sierota już... biedna sierota bez ojca i matki.

— Dziecko Boldwooda, które lord Lashmar wyrwał z płomieni, sam się w nie ciskając — dodał pułkownik. — Uratował je, narażając się sam tak, żem nie myślał go już oglądać. Ale każ nam pani łaskawie dać czegoś się napić. Co sobie życzysz Lashmarze, kieliszek wódki... prawda? Jesteś blady jak cień!...

— Kieliszek francuskiego wina, pułkowniku, a potem filiżankę herbaty, ale droga pani, co sądzisz, że można dać dziecku? Nie znam się na tem...

Wszyscy się rozśmiali na to naiwne wyznanie młodego lorda Lashmar, że nie wie, co piją małe dzieci. Właścicielka hotelu poradziła herbatę także, ale ruszyła przy tem ramionami.

— Dziecko Boldwooda — mówiła półgłosem i czuć było, że chętnie nie dałaby sierocie szklanki wody.

Lord Lashmar poprosił jej o jaki szal do okrycia dziecka, a następnie o powóz, którymby można jechać do Lashmar-Castle. Radzono mu, aby przenocował w hotelu, nie chciał przecież.

— Nie — odparł — za nic w świecie nie chciałbym być przyczyną niespokojności dla lady Lashmar.

— Jesteś wzorowym synem, milordzie — rzekła właścicielka hotelu i zadzwoniła. — Mary, powiedz Johnowi, aby natychmiast zaprzęgał do landa. A ty pobiegnij mi po szal. Weź ten ciepły wełniany. Nie stójże i nie gap się na mnie, tylko leć żywo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dobrze jej tak!

Czarnymi oczkami tak mię przyciągała,
Żem myślał — iż serce z piersi mi wyskoczy.
Gdym wyznał jej miłość, to ona się śmiała
I rzekła: „Och panie, chcesz patrzeć w me oczy?“
„Ja wyznam ci szczerze, me oczy, me usta,
Chcą na objad pieczeń, i... by była tłusta.
Ty nie masz na chudą i śpiewasz — dyszkantem,
Boś ty w namiestnictwie, tylko... praktykantem“.

Uciekłem więc od niej... Szły mi jakoś lata,
Szedłem czasem krzywo, no — a czasem... prosto.
Ha trudno, wszak trza się stosować do świata...
Trzeba awansować... Zostałem starostą..
Dyszkantem nie śpiewam, bo już śpiewam basem,
Jem tłusto, szampana popijam też czasem.
A ona?... została żoną... koncelisty
I do praktykantów pisze czułe listy...

A. Bar.

Gadu gadu.

Z pamiętnika „Demona“.

Miałem lat 20 i byłem djetarjuszem w kancelarji adwokackiej. — Choć miałem mało pieniędzy — byłem wesół i szczęśliwy, bo byłem młody. W dali, w dali widziałem cel — dyplom adwokacki, którego pieczęcią była bogata i, oczywiście, piękna żonka...

Oprócz młodości miałem serce — co chciało koniecznie zakosztować rajskich owoców miłości, tego niebiańskiego uczucia, co jest głośnym motywem życia wielu... Skutkiem tego sentymentalizmu, zakochałem się i to na zabój — w Mani Głuptasiewicz, dziewczęciu 17 wiosen liczącem. Czy tam wszystkie wiosny były policzone sumiennie — Bóg chyba wie i rodzice — bo metryka, jak złote runo, była strzeżona. Trzebaby nowego Jazona, by się odważył zabrać ten drogocenny klejnot. Bezstronnie, wyznać jednak muszę, że panna Głuptasiewiczówna była to szyk dziewczyna — był to pączek rozkwitający, którego atoli broniły ostre kolce przed zerwaniem. Pod kolcami rozumiem oczy bazyliszkowe jej mamy, cybuch porządny starego, a wreszcie, rozum samej panny, który zadawał kłam jej nazwisku.

Mania miała oczka żarzące się, jak węgle, a głębokie, jak kieszeń złodziejska. I kibić miała prześliczną — wiotką, eteryczną, — gdzie trzeba szeroką — gdzie trzeba wąską — według prawideł najnowszej mody. (Dla wyjaśnienia dodać muszę — że figura panieńska jest elastyczna — sznurówka, siano, poduszki, to objawy tej siły ściągająco-rozpychającej). — Włosy jej miały jakiś zdradny, złotnwy odbłysk, który tworzył, jakby aureolę nad głową ubóstwianej... Aniołki przylepiane na szopkach podobnie wyglądają...

Przyznacie mi więc, mili, a cierpliwi czytelnicy, że rusałka taka podbiłaby serce nawet jakiego wygi salonowego, — a nie dopiero niedoświadczonego młokosa — co jeszcze dobrze pamiętał ławki szkolne, groźne miny bakałarzy i monitor Boćkowski.

Oczywiście, pozwy, dupliki, repliki, stały się dla mnie znienawidzone od czasu urodzin miłości... Przepisywałem je bezmyślnie

Także filozofja.



— Zabiłeś co?
— Nie.
— Dlaczego?...
— Bom nic nie widział...
— To ci sztuka dopiero zabić co, jak się widzi... A od czegoż myśliwy!... *Myśleć* i *wymyśleć* powinien coś do zabicia, choćby nie widział..



Musi być...

— Jezus Marja! żono! czego ty chcesz odemnie, udusisz mnie!...
— Uduszę cię, a więc będzie pogrzeb i będzie nowa suknia, o którą cię teraz naprożno błagam!...

Na ulicy.



— Djabelna zima: mróz, śnieg i drożyzna — za wiele na raz..
— E, ja mam jeszcze córkę na wydaniu...
— A ja teściowę w domu...
— Straszna zima!...
— Chodźmy do handelku na... drożyźniany dodatek...

i nie dziw, że grube byki sadziłem. Żyd impertynencki nieraz zjawiał się na papierze — rozsiadał się w czarnej bekieszy — jakby drwił z mojej miłości — i ani rusz spędzić aroganta.

Imię Marja z różnemi odmianami i zdrobniałościami figurowało na mej bibule, reminiscendach i elaborandach tak dalece, że nawet urzędowo mecenas dał mi napomnienie, bym nie zasmarowywał papieru, bo drogi w dzisiejszych czasach...

Argument ten nie trafiał mi jakoś do przekonania, a chyba Bóg na sądzie ostatecznym policzy, ile ja w duchu nadałem epitetów wcale nieklasycznych memu chlebodawcy. Zimny prawnik, zagrzebany w paragrafach — wygrzebie z nich tylko wyroki i pieniędze — ale nie miłość. — Nie może jej tedy całkiem naturalnie zrozumieć, tłómaczyłem sobie i dalej robiłem swoje.

Raz jednak to niebiańskie uczucie, co nawet takim maluczkim, jak wojskowym bez szarży „żywot“ osładza, a względnie poprawia — nabawiło mię ambarasu nie lada.

Przepisywałem bardzo pilny kontrakt. Ku zadowoleniu mecenasa oddałem pracę na czas — chlebodawca rzucił mi nawet parę słów pochwały, którymi rzadko obdzielał swych pracowników.

Byłem w siódmem niebie. Tak łatwym sposobem pogodzić poezję z prozą — miłość z przestarzałymi formułkami adwokackiemi — to zaiste Herkulesowe dzieło.

W tem za chwilę słyszę krzyk — a niedługo wtoczyła się do kancelarji figura mecenasa — mająca wielkie podobieństwo do geometrycznej paraboli. — Twarz tej figury mogła w tej chwili rywalizować z burakiem o kolory. Ciało geometryczne sapało, sapało, nareszcie wypuściło piorunujący głos, któryby mógł zastąpić miechy przy organach w ich funkcji.

— Powód, chcę mówić pan, kpi formalnie z mojej kancelarji — piszesz pan absurda, nic nie uważasz, na jurysdykcji nic się nie znasz, zamiast się uczyć — zabijasz sobie głowę jakiemiś bzdurstwami — więc racz pan uważać umowę naszą dziś za rozwiązaną moim dekretem, od którego apelacji nie masz.

To powiedziawszy, rzucił mi na stół rozdarty czystopis i zatrzasnął drzwiami.

Powodem tego apoplektycznego stanu mego pracodawcy — była, jak się niebawem dowiedziałem, mała pomyłka z mej strony. Zamiast „kontrakt kupna i sprzedaży“ — napisałem bezwiednie: „kontrakt miłości dozgonnej“...

Idąc do domu — rozpamiętywałem sobie to zdarzenie i przyszedłem do przekonania, że i miłość ma swoje złe strony.

Posmutniałem, myśląc, co teraz po utracie posady robić będę. Wnet się, jednak, pocieszyłem, wszak wyczytałem w biblii: „Ptaki niebieskie nie sieją, nie orzą — ani zbierają do gumien, a Ojciec Niebieski żywi je“. — Więc i ja jakoś będę żył.

By się ukarać — odmówiłem sobie tego dnia podwieczorku — a postanowiłem nasycić się widokiem mej lubej. Złośliwi pewnieby powiedzieli, że z braku funduszów, lub dla oszczędności — to zrobiłem — ale ja jestem do dziś święcie przekonany, że to zrobiłem dla miłości...

Ciągła gonitwa za ideałem tak podczas pogody, jak słoty — nadwerężyła niezmiernie filigranowe moje buty. Milcząco, a uporczywie poczęły odmawiać mi posłuszeństwa — i trzeba było je jakoś ułagodzić. — Namyśliłem się tedy dać je odnowić. Ba! i cylinder szwankował. Na dobitkę złego, z powodu zaniedbywania się w pracy — utraciłem djurneum tj. ostatnią deskę ratunku. Wałęsałem się kilka dni bez celu i pieniędzy i już zwątpiłem o swej egzystencji — gdy szczęśliwym trafem dostałem djurnum i to za pośrednictwem kolegi, na którego najmniej liczyłem. Trzymał się zdala nas — nie brał udziału w naszych hulankach i nazywaliśmy go „odludkiem“.

A przecie i on miał serce ludzkie — może, właśnie, dla tego trzymał się zdala ludzi. Kto to wie?

Ucieszyłem się bardzo, bo djurnum nie tak łatwo dostać w dzisiejszych czasach — i tu trzeba protekcji, lub szczęścia. Dziś, kto tylko jakie takie kulasy stawia na papierze, choćby, jak kura łapą, idzie dyurnować, bo rzetelna praca fizyczna ubliżałaby jego honorowi...

Ucieszyłem się tedy bardzo, jak już powiedziałem, bo dalej, choćbym miał łeb i salomonowy — nie zdołałbym biedy załatać. — Nieraz nie dojadłem — nie dospałem — a choć nadrabiałem miną — jednak bieda wyglądała z za kołnierza.

Jak przyjemnie mi się zrobiło — gdym się ujrzał w dobrze ogrzanej kancelarji — przy eleganckiem biurku z piórem za uchem — to tego, ani prozą opisać, ani pieśnią wyśpiewać — ani bajką gadać nie można...

Drugiego, czy trzeciego dnia wziąłem na potrzeby moje zaliczkę, przenoszącą pół pensji. Poczciwy mecenas dał — wyczytawszy widać z twarzy, że mi droższy honor od pieniędzy.

Byłem szczęśliwym — miałem w swym ręku 10 złr. — bajońską sumę — co za nią kupić?... Zapłacić dług w sklepiku, czy też sprawić nowe buty — a może nowy cylinder?

O zapłaceniu komornego nawet nie pomyślałem. Gospodarz bogaty, może czekać — zresztą, cóż mi zrobi — co mi zabierze?.. — Pudło z cylindra, w którym lokuję swą garderobę — prycza drewniana, dwa krzesła — coś na kształt stolika staroświeckiego z kulawemi nogami — i trochę dobrego humoru, wyjętego prawem z pod egzekucji — oto mój cały majątek.

Po długiej walce ze sobą — zdecydowałem się wreszcie kupić cylinder, dać naprawić buty — a resztą upłacić dług „grajslerajniczce“. — Poczciwa kobiecina cierpliwa — bo jej nieraz opowiadam o tem, co w książkach drukują i prowadzę rachunki dla niej zawiłe — ona wierzy we mnie, jak w czwartego tuza — a ja miałbym zawieść jej zaufanie?.. przenigdy!...

Poszedłem więc do sklepiku z miną miljonera — i wyszedłem — jakby odnowiony — sam nadziwić się nie mogłem swemu obrazowi w wystawowej szybie sklepu, z którego wyszedłem.

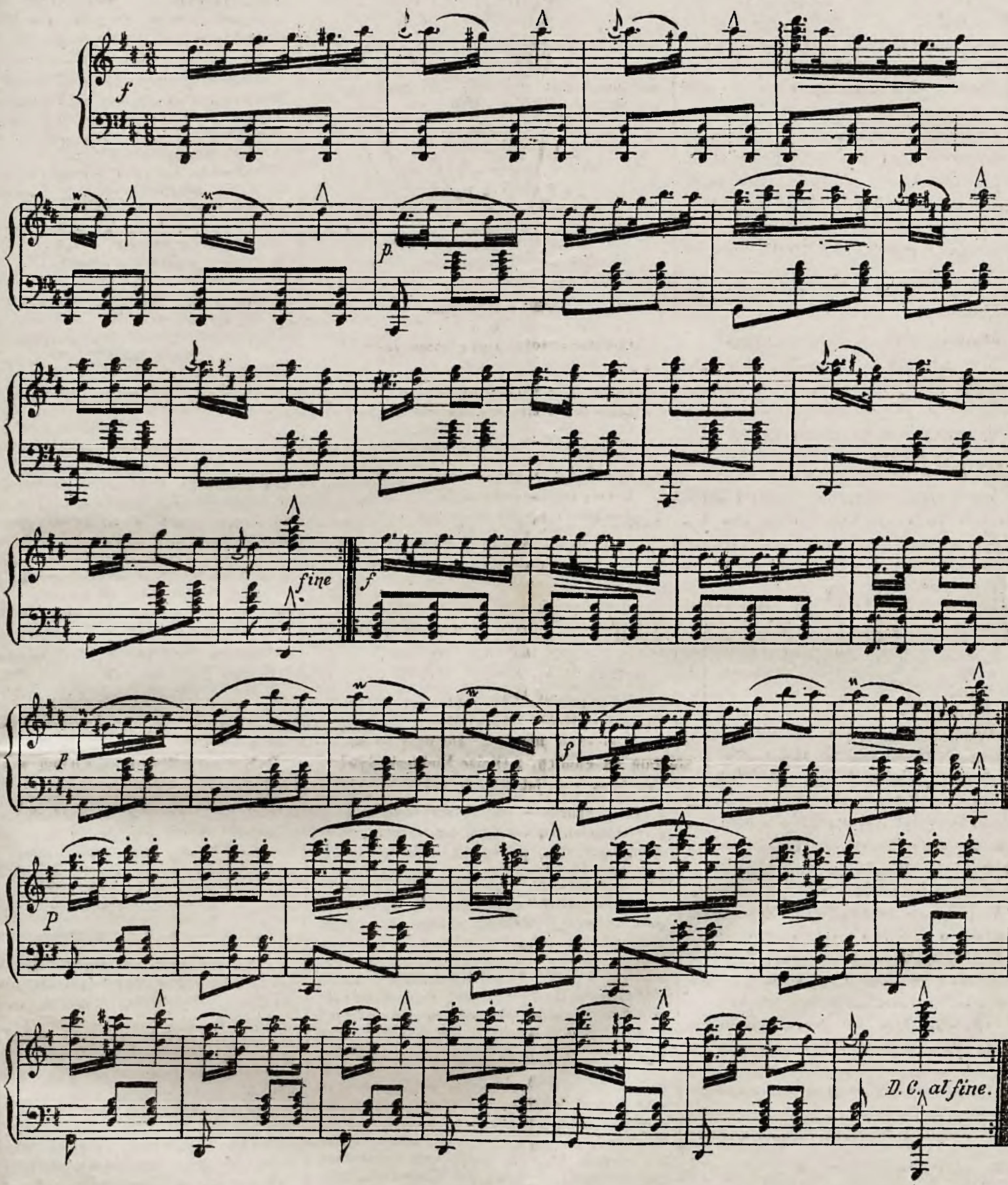
W tem, nagle mignęła mi w głowie myśl pokazania się swej lubej.

A była sposobność doskonała — Nowy Rok i tak należy się złożyć życzenia. Idę tedy z bijącem od radości sercem do mieszkania rodziców mej ulubionej.

Ucieszyli się wszyscy mym widokiem. Wszyscy, tj. panna w pierwszym rzędzie — tato, w drugim rzędzie i mama, w trzecim rzędzie — i nawet, leniwy buldog, leżący na poduszce atłasowej pod piecem, nieda-

MAZUR.

J. Czubski.



leko czarodziejskiej komody, w czwartym rzędzie.

Panna pokraśniała — jak wisienka w słońcu zakochana — tatko strzepał ręce z tabaki — a mama okulary z czoła pompatycznie zsunęła, patrząc się na mnie naturalnemi oczami, w których odmalowało się radośne zdziwienie.

— A dawno niewidziany pan Jan — witam, witam — tubalnym głosem zakrzyknął stary — podkręcił sumiastego wąsa i podał mi rękę.

W takt z podaniem ręki przez gospodarza — żona jego kiwnęła głową zaczesaną à la Mikado — córka spuściła oczy, a adoptowany faworyt pani domu wstając i poziewając, zapiszczał.

Muszę tu nadmienić, że stary bardzo mię lubił, bo grywałem z nim nieraz całymi dniami marjasza, lub ze stoicką cierpliwością słuchałem tyrad jego, o złych czasach i przepowiedni o bliskim końcu świata, lub, co najmniej, o wojnie.

Uścisk staremu oddałem serdeczny — potem z kolei poszedłem ucałować rączki gospodyni, która skrzywiła swą pomarszczoną twarz do uśmiechu.

Pannie oddałem ukłon głęboki, poważny... Serce mi waliło, jak młoty w kuźni — zły duch szeptał: pocałuję — ale nie miałem odwagi — żeby to było „sam na sam“ — no to jeszcze pół biedy — ale w obecności ojca, matki, psa — nie mogłem. Tobym się miał z pyszna, jakby mię wzięli w obertasy.

Przyszło do życzeń. Ojcu i matce rżnąłem utarte formułki — córce nie mogłem ich powtórzyć — nic nie rzekłem — choć wierzcie mi, chciałem. Język skołczał, jakby paraliżem tknięty. Zabełkotałem coś niezrozumiale i na tem koniec. Że w owej chwili wcale głupio wyglądałem — nie potrzebuję nadmieniać.

Maniusia moja także nie rzuciła mi ani słówka - tylko popatrzyła na mnie tak jakoś dziwnie, przeciągle, że byłbym rad od tego wzroku schować się nawet do myszej jamy.

Wytrzymała mię tak chwilkę — a ta chwilka wydała mi się wiekiem. Potem zaśmiała się figlarnie i uciekła do kuchni — czemu — nie wiem?

Rozmowa toczyła się żywo — zwłaszcza, gdy na stole ukazała się apetyczna herbatka, koloru czysto słomkowego i ciasta od Spinetera. Byłem w dobrym humorze.

Dowcipy — sypały się, jak z rogu obfitości. — Gospodarzowi od śmiechu trząsł się brzuszek wyrazisty, jak galareta — mama zakrywała sobie usta fularową chu-

stką, a córeczka błyskała raz po raz białymi ząbkami.

Czułem w kieszeni kilka guldenów — formalnie świerzbiały mnie tam. By więc w lepszem przedstawić się świetle, zapraszam gościnną rodzinę na jutrzejszy wieczór do teatru. Grali, właśnie, premierkę: „Ostatnie chwile życia, czyli Amor u kolebki“... — Maniusia ucieszyła się bardzo, bo jej tatko, choć zamożny, na takie nadprogramowe wydatki nie pozwalał.

Ożywiona jej twarzyczka była dla mnie jakby świtaniem nowej zorzy, nowego życia.

Na odchodnem, silniejszy jak zwykle uścisk ręki, zapłacił mi mój bohaterski postępek. Bohaterski, mówię, bo prawdziwie bohaterstwa i pogardy losu trzeba było, by kupować lożę — oczywiście 2-go piętra — mając kilka guldenów, na wyżywienie się całomiesięczne.

Mimo tego nie spuściłem z tonu.

Nocy tej śniło mi się — że w gronie rumianych pyzatych dziatek, czytam na głos gazetkę — i popijam doskonałą rosyjską herbatę; ogień trzaska wesoło na kominku, koło którego śliczna żoneczka słucha wiadomości ze „świata“.

Wtem szczur olbrzymi — zaczął harce wyprawiać po moim kawalerskim pokoiku.

Zbudziłem się... i zacząłem z zemsty polować na szczura, który śmiał me nocne illuzje rozwiać.

Dniało już dobrze, gdy ukończyłem łowy — wychodzę zatem do biura.

Po drodze spotykam się ze znajomymi, proszą mnie na wódeczkę. Tak dawno ich nie widziałem — moi najszczersi koledzy. Jak tu odmówić? Mróz siarczysty na dworze. Wstępuję tedy na wódeczkę, by się ogrzać z najsilniejszem postanowieniem zabawienia tylko chwilkę. Kieliszek za kieliszkiem tonie w przepaściach gardzieli — rozmowa coraz się ożywia — w głowie coraz więcej szumi, a człowiekowi coraz milej i weselej... Wódka czasem, jest dobrodziejką dla biedaków...

Wypada się zrewanżować. Zapominam o teatrze, o lubej, o mych sennych rojeniach — wołam kolejką raz, drugi, trzeci — tamci znowu — i tak dalej — dalej — bez końca... Hulaj dusza!...

Popołudniu już było — gdy wstałem od stołu. Nie wiem, jakim cudem znalazłem się w domu...

Przespawszy się — trochę strzeźwiony budzę się. Najwyższy czas kupić bilet i biedz do lubej. Pewnie już czeka i niecierpliwi się.

Sięgam do kieszeni — obmacuję — nie ma pieniędzy... Zdrętwiałem.

Sprzedaję pierścionek — cały mój majątek, zabytek lepszej przeszłości, jedyną pamiątkę po matce — kupuję bilet i posełam przez posłańca doniosłszy na bileciku, że przybędę już do loży troszeczkę później. Potrzebowałem ochłonąć. — Z godzinę włóczyłem się bez celu po ulicach. Nareszcie, rżnę do teatru, znajduję numer loży — wchodzę. W loży zastaję mamę z Manią i jakiegoś młodego pana.. Mamę buch w rękę, Manię ściskam za rączkę, a gdy spojrzałem na młodego człowieka i oddałem mu lekki ukłon — mama, zesznurowawszy usta do uśmiechu — rzekła rekomendując:

— Pan Ignacy Kiełbasiński, narzeczony Mani!..

Właśnie, w tej chwili huknął bęben w orkiestrze, a ja bezsilnie klapnąłem na krzesło... Mania zawzięcie lornetowała, pan Kiełbasiński pokręcał ładnego wąsa, mama zaś wpatrywała się w gwiazdy złote na niebieskim suficie teatralnym...

Wyszedłem w antrakcie, niby to na papierosa i... nie wróciłem już więcej...

W kieszeni miałem 98 centów, a w domu zastałem wypowiedzenie mieszkania przez gospodarza i zabitego szczura, którego zamordowałem w nocy i zapomniałem go wyrzucić...

Chcieć i módz...

Mądrzy ludzie powiadają:
Kto chce módz — niech tylko chce,
Ale mnie się wciąż wydaje,
Mądrzy ludzie prawią źle!

Wszak niejeden dąży, pragnie,
To i owo chciałby mieć,
Chciałby umieć to i owo
Ale cóż pomoże chcieć?...

Chciej, jeżeli nie potrafisz,
Latać chciej — a skrzydła masz?...
Pływać chciej — a nurka dasz...
Walczyć chciej — a broń, czy znasz?...

Oj niesłuchaj mądrych bratku,
Z wolą twoją w domu siedź,
Ten kto umie, i kto może,
Temu tylko wolno chcieć!...

Leopold.

Teatr — koncerta — widowiska.

Dwie Eleonory, 4-aktową komedję Lindau'a z niemieckiego tłómaczoną, grano u nas po raz pierwszy w poniedziałek. Matka jeszcze młoda i piękna, córka zaledwie wyzierająca z obsłonek dziewiczości, młody człowiek romansujący z matką, a potem zakochany w córce wyżej uszów, mąż, oczywiście, safanduła i wujaszek młodego człowieka, strofujący siostrzeńca i także safanduła, ale na inny sposób — to jest materjał, nie bardzo, co prawda, oryginalny, lecz dosyć wdzięczny, z którego Lindau z pomocą drugorzędnych figur, wystrzygł spektaklową komedję, miejscami dosyć wesołą, miejscami nudną i miejscami straszne powszednią — jednak w całości napiętnowaną pisarskim talentem i nie bez wartości literackiej — szkoda tylko, że pozbawionej oryginalnego kolorytu i autorskiego temperamentu... Słucha się tego wszystkiego dosyć przyjemnie, ale, gdy się przestanie słuchać, to się nie myśli o tem, co się słyszało... W każdym razie *Dwie Eleonory* nie pozostawiają niesmaku, a, jeśli, wyrażając się trywialnie, oblizywać się nie ma po czem, to z pewnością lepiej i zdrowiej, aniżeli wszelakiego rodzaju niestrawności artystyczno-literackie...

Dwie Eleonory grano na lwowskiej scenie bez zarzutu. Eleonorą matką była panna Pankiewicz, Eleonorą córką pani Kwiecińska. Talent panny Pankiewicz znalazł pole wdzięczne do popisu — prawda, ale też artystka z całą subtelnością opracowała rolę i odtworzyła postać kobiety miękkiej, trochę zdenerwowanej, rozromansowanej i dobrze zepsutej, z niepospolitym wdziękiem i intuicją artystyczną. Pani Kwiecińska zdrowego i ślicznego podlotka, przemieniającego się w oczach widza w zakochaną dziewicę, odegrała po mistrzowsku!... W postać tę włożyła artystka, i młodość, i wdzięk zawracający głowę, i uczucie, i rozum zacnej kobiety... „Lorkę“ wyposażyła pani Kwiecińska po magnacku. Trzeba, jednak, posiadać niezwykle bogaty skarbiec artystyczny, aby takimi brylantami talentu siać naokoło siebie... Przepysznym wujaszkiem był pan Fiszer — humor i werwa komiczna nie opuszczały go, ani na chwilę — całość też była wyśmienitą. Postać młodego człowieka, który zaczął od matki, a skończył na córce, w grze p. Kwiecińskiego, wyszła skończona, — istny brylant szlifowany natchnionym talentem, w którym trzeba podziwiać wszystko, ale to wszystko, co z pod tego talentu wychodzi, od drobnostek i mimiki, aż do głębszych scen sytuacyjnych i uczucia czystego, jak łza uczciwego mężczyzny...

Pan Feldman, męża safandułę, naturalnie, z rogami, grał z sympatycznym humorem. Prawie epizodycznego lekarza odtworzył pan Hierowski z talentem i drobiazgową sumiennością rozumnego artysty. Dobrą powiernicą była pani German, fertyczną pokojówką pani Piasecka — inne drobne role, wyszły dobrze.

Sezon operowy dał nam starą Normę Belliniego. Norma, bez nadzwyczajnej reprezentantki tytułowej partji, jest już niemożliwą. U nas występowała po raz ostatni w operze tej pani Wanda Lenczewska.

Posiada ona dużo warunków do tej roli, bo i głos obszerny, i werwę dramatyczną, a pomimo to ensemble cały nie czynił estetycznego i sympatycznego wrażenia. Dodać jeszcze: polka śpiewająca nam ciągle po włosku! W Pradze czeszka nie ośmieliłaby się to zrobić, ale u nas wolno już psu i t. d. Pani Skalska partję Adalgizy odśpiewała ładnie i ze zwykłą sumiennością. Duet drugiego aktu z Normą nie wywołał żadnego wrażenia.

Pan Jerzyna był przy głosie i miał bohaterskie momenty. Nasz Jeromin, w roli Orovesa swym wysokim spokojem artystycznym i pięknie podaną cantileną imponował.

K.

W Halce przedstawił się nam baryton, pan Taborski. Z okazji tego debiutu pana Taborskiego, przypomina się nam stary i znany frazes, który wypowiedział raz Rossini, Rubini, i powtórzy jeszcze nie jeden i n i. A to jest: Voce — voce é anche voce! Pan Taborski, dosyć zresztą, przystojny młody człowiek, nie posiada, ani dostatecznego głosu, ani metalu, choćby w małym głosie. Szeroko otwiera usta, każdy spodziewa się, że z tego coś odpowiedniego wyjdzie, a tymczasem z dużej góry... mysz.. Kto mu doradził być śpiewakiem, ciężko kiedyś odpokutuje. A może mu nikt nie doradzał, bo to się także często dzieje... Zresztą, niech sobie sam dalej radzi, jak może najlepiej... Pani Kasprowicz Halkę, jakoteż pan Jerzyna Jontka, śpiewali z niezwykłym sukcesem. — P. Jeromin odśpiewał poloneza z wielką dystynkcją i wyglądał, jako stary polak — pysznie. Czemu pan Kiczman, zaciera tradycję w roli Dziemby i przedstawia się, jako młody amant. Postać Dziemby jest typową: stary oficjalista szlacheckiego domu. Typy te zatracają się powoli, — tembardziej trzeba je zachowywać.

K.

Trzecim występem pani Malinowskiej była partja królowej w *Hugenotach*. Z poprzednich występów wiedzieliśmy naprzód, że królowa znajdzie w nadobnej artystce to... co królowej potrzeba.. Śpiewała pani Malinowska ślicznie, sypiąc perełki misternej koloratury... Wyglądała czarująco, jak królowa, co „dla miłości chce żyć“...

Mała uwaga dla kierownictwa artystycznego.

Pan Zegarkowski posiada piękny bas niski, *profundo*. Dlaczegoby nie miał zaśpiewać Marcela w *Hugenotach*, który dla pana Jeromina, jest, bezwarunkowo, za niski. Niech się talenta i głosy wyrabiają, i krzepną. Gdy się ma pod ręką materjał, należy go spożytkować. Pan Jeromin, jest dzielnym śpiewakiem i dobrym artystą, czuje i wie, że natura i charakter głosu, ma swoje zakreślone granice.

Starego Molieroskiego *Skąpca*, dano w ubiegły piątek. Było w teatrze prawie pełno — to dowód, że lepsze dobre stare, jak nowe złe... Skąpcem był p. Fiszer — grał świetnie, a sekundował mu w roli syna p. Kwieciński, znakomicie... Ładną córeczką była panna Praun, która grała dobrze i sympatycznie. Panna Sznage w roli Marjanny, ślicznie wyglądała i nie źle grała. Przepysznym typowym kucharzem i stangretem, był p. Dębicki. Pani German starą intrygantkę, grała ze swykłym swoim humorem. Walerym był p. Woleński. Rolę famulusa z werwą komiczną, odegrał p. Skalski, a małą rolę faktora, rolę charakterystyczna, starannie opracował p. Gasiński.

Z krakowskiego świata artystycznego.

Zapowiadamy na dzień 19. stycznia koncert tenorzysty Aleksandra Bandrowskiego nie odbył się, gdyż został w ostatniej chwili odwołanym, bo za mało wysprzedano biletów.. W piątek dnią 22. b. m. odbył się pożegnalny koncert panny Bolesławy Czesnak *) przed jej wyjazdem za granicę, z współudziałem panny Dziryttówney i prof. Bylickiego. Śpiew koncertantki dowodzi pracy sumiennej i dobrej szkoły. Głos odznacza się wyrazem i siłą dramatyczną, lecz nie posiada wdzięku, brak uczucia i temperamentu. Prócz utworów włoskich mistrzów, odśpiewała p. Cz. dwie piosnki tutejszego kompozytora p. Kordeckiego, które na żądanie musiała powtórzyć.

Dziś pragnąłbym pomówić tu nieco o teatrze krakowskim, którego artystycznym kierownikiem, jest p. Roman Żelazowski.

Teatr tutejszy pozostaje w zupełnie odmiennych warunkach, jak inne sceny polskie. Zwyczajem utartym od dawna, musi tu być, co sobota jakaś nowość przedstawiona — co dla artystów, a szczególniej dla reżyserji jest trudnem zadaniem. Sumienny i pracowity kierownik krakowskiej sceny, oddaje się z zapałem i poświęceniem temu zadaniu, za co też nie może się uskarżać na brak uznania, ani u publiczności, ani u poważnej krytyki.

Z nowości przedstawiono tu *„Fałszywą świętość“*, znaną we Lwowie. Benefis p. Żelazowskiego (Wilhelm Tell) wypadł świetnie pod każdym względem.

W następnych mych listach, zamieszczę sprawozdanie treściwe z dziedziny malarstwa, rzeźby i architektury.

Maurycy Sieber.

Telegramy »Gońca i Iskry«

na cudzych drutach.

Rzeszów. Adwokat Fechtdegen wykręcił się od złożenia go z urzędu viceburmistrza i pozbawienia praw obywatelskich za pomocą dziurki od klucza, której sobie poszukał w Wydziale Krajowym; teraz chcę się znowu wkręcić do rady miejskiej, choćby przez komin — jednem słowem, specjalnością pana Fechtdegera, jest wykręcać się i wkręcać się..

Tarnopol. Aby na przyszłość nie okradli znowu tutejszej kasy oszczędności, postanowiono, żeby w niej nigdy nie było pieniędzy, co, z resztą, w dzisiejszych, ciężkich czasach, będzie nie trudne i odpowiednie.

Kraków. Lekarze zapisali artystce pani Hofman elixir młodości, podczas zażywania którego, nie będzie występowała na scenie.

Kołomya. Z inicjatywy pewnego kółka radnych, ma się tu zbudować świątynia bezwyznaniowa.

Nowy Targ. Tutejszy aptekarz wynalazł środek na influencę — jest nim, nie zażywanie żadnych lekarstw przyrządzonych w jego aptece.

Przemyśl. Mają się tu odbyć wyścigi panien na lodzie...

Sambor. Aptekarz tutejszy pan Aleksiewicz wybudował nowy dom, w którym się mieści apteka, przy niej ma się urządzić szpital, a w oficynach, Opuchlak ze Lwowa, zakłada filję przedsiębiorstwa pogrzebowego.

Doniesienia prywatne i publiczne.

W dniu 26. b m., odbyły się dwa śluby w Kozicach, pod Lwowem. Pan Franciszek Bartik, obywatel i znany kupiec z Krakowa, zawarł związek małżeński z panną Michaliną Wołłowiczówną, a pan Tadeusz Borecki, urzędnik krakowskiego towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, z panną Katarzyną Wołłowiczówną — obie panie są córkami pani Gabrjeli z hr. Kostrowieckich Wołłowiczowej, właścicielki dóbr Kozice. Wiele osób z Krakowa podążyło na te ślubne gody, na których przedewszystkiem jaśniały urodą i wdziękami dwie młode i rozpoczynające nowe życie mężatki, którym blasku dodawały nadobne druchny i uczestniczki ślubu i wesela. W naszych stosunkach polskich, każdy przybywający dom, każda świeża rodzina, jest, można powiedzieć, nową siłą i nową fortecą, o które się rozbijają zapędy wrogów naszych. Dwóch młodych ludzi pracy i zacnego charakteru, połączyło się z córami arystokratycznego rodu — piękne to związki i da Bóg, piękne z niego będą owoce. Na tej nowej drodze życia i obowiązków, niech się im ścielą kwiaty, ozłocone promieniami słońca i uśmiechów. *Przyjaciel.*

*) Kiedy, ostatecznie, panna Czesnak wyjedzie za tę granicę, bo już od pięciu lat wyjeżdża ciągle i wyjechać nie może. *(Przyp. Red.)*

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Wbny ksiądz Klonowski w Shamokin (Ameryka). Dwa dollary otrzymaliśmy. Prenumerata zapłacona do dnia 31. grudnia 1891 r. Prosimy szan. księdza dobr. o łaskawe nadesłanie dokładnego adresu biblioteki czytelni, dla której „Goniec i Iskra“ jest prenumerowane.

Pan B. w Ł. Prosimy o to, co szanowny pan obiecał.

Panna na wydaniu. To by mogło iść, jako ogłoszenie płatne.

Szlifibruk. O dowcip trudniej, jak o pieniądze — nie będzie drukowane.

Autorom wierszy: „Do“... „Miłostki“, „Posagowicze“ i „Muszka“ — utwory panów nie będą drukowane.

Buzdygan. Pańska „Influenca“, mogłaby nabawić czytelników prawdziwej influency...

B. w Nowym Targu. Skorzystamy w przyszłym numerze.

Pan Ficher w Mont Carmel — (Ameryka). Dwa dollary otrzymaliśmy — prenumerata zapłacona dopiero do dnia 31. Grudnia 1891 r. O nadesłanie dalszej prenumeraty uprzejmie prosimy.

Wbny ksiądz Januszkiewicz w Reading (Ameryka). Stosownie do życzenia wysłaliśmy numera, od Nowego Roku poczynając. Prosimy o nadesłanie prenumeraty, po otrzymaniu której, wyślemy natychmiast premię bezpłatną.

Wyroby masarskie różnorodne, smacznie przyrządzane, zawsze świeże, po cenach umiarkowanych, poleca **Gadziński w Gródku** (koło Lwowa). 5553—4—1.

Piwiarnia Dolleińska

dawniej

Schwechacka

w Krakowie

przy ulicy Grodzkiej l. 50.

Śniadania od godz. 9—11. Wszelkie przekąski gorące à la minute po **10** ct. **Obiady od godz. 12—2**, à la carte od **30** do **40** ct. Abonament miesięczny **10** złr. **Piwo Dolleińskie à la Pilzner**, 1/2 litra w dzień **9** ct., wieczorem podczas koncertu **10** ct.

Koncert orkiestry damskiej.

Początek o godzinie 7. Wstęp wolny.

Usługa rzetelna i szybka.

Z uszanowaniem restaurator
5558—2—1. **Heublum.**

Drukarnia
Schwarza i Spółki
w Przemyślu ul. Grodzka l. 40

(w domu własnym).

Zaopatrzona w czcionki najnowszego kroju i maszyny pospieszne, najnowszej konstrukcji, a posiadając siły fachowo-wykształcone, przyjmuje i wykonuje bardzo elegancko wszelkie zamówienia, wchodzące w zakres sztuki drukarskiej, jako to: dzieła, broszury, czasopisma, tabele wojskowe, kasowe, regestra gospodarcze, cyrkularze, dyplomy, illustracje, okólniki, blanklety rachunkowe, cenniki, programy, wszelkie zaproszenia, obligacje, spisy potraw (menu), wszelkie druki do administracji każdego rodzaju, karty pogrzebowe, plakaty itp.

o 20 30 proc. taniej, niż gdzieindziej.

Główny skład druków wojskowych, szkolnych, dla urzędów parafjalnych, pp. adwokatów i notarjuszy, jakoteż druki do podań sądowych i dla c. k. posterunków żandarmerji.

Polecając się łaskawym względom Szan. P. T. Publiczności, kreślimy się z wysokim szacunkiem

5560—3—1. **Schwarz i Spółka.**

Fabryka wędlin
Antoniego Jech
w Jarosławiu

poleca wszelkiego rodzaju własne wyroby masarskie, jak **nieprześcignione w smaku**, szynki, ozory, polędwice, różnorodne kiełbasy itp. delikatesy masarskie, po cenach bardzo umiarkowanych. Zamówienia uskuteczia szybko i punktualnie. 5552—6—1.

Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, iż objąłem z dniem 1. października b. r.

Restaurację

w „Hotelu Krakowskim" w Krakowie.

Kuchnia dobra i zdrowa,

zaopatrzona we wszelkiego rodzaju napoje, jako to:

Wina krajowe i zagraniczne.

Obiady w każdej porze à la carte. Abonament miesięczny od 15 złr. — Obiady od 60 ct. do domów prywatnych o 20% niżej.

Na wesela i zbiorowe kolacje przyjmuję zamówienia we własnym lokalu restauracyjnym na I. piętrze, jako też i w domach prywatnych — po cenach umiarkowanych.

Polecam się względom Szanownej P. T. Publiczności

z poważaniem
5554—6—1. *Wincenty Dydaś.*

Pierwsza w Krakowie

Parowa fabryka stolarska
Braci Muranyi

przy ulicy Dajwor. 5548—7—1.

Fabryka przy pomocy najlepszych systemów maszyn, do najróżnorodniejszego obrabiania drzewa, wzorowo urządzonej suszarni, oraz znacznego zapasu materjałów nabywanych z pierwszej ręki — wykonuje wszelkie roboty stolarskie, jakoteż posadzki cegiełkowe, deseniowe i fornierowane w jak najkrótszym terminie, z doborowego i suchego materjału i po najprzystępniejszych cenach.

J. WYCHERA
Fabryka machin i odlewarnia żelaza
we Lwowie, ul. Gródecka l. 47.



Poleca swoją nowo urządzoną **odlewarnię żelaza** podług najlepszego i najnowszego systemu do wykonania różnych odlewów dla machin i dla celów budowniczo-przemysłowych, które podług moich lub przesłanych modelów i najlepszego domieszka surowca, wykonuje. **Warstaty machin i warstaty prywatne** mogą mieć także tanie odlewy kompletnych machin akuratnie podług moich modelów. Na żądanie zostają lane części żelazne w moim warstacie toczone i borowane. Również polecam z mego oficie zaopatrzonego **składu, machiny rolnicze**, które za staranny i dobry wyrób uznane. Z powodu zmiany urządzenia, jest w mało używanym stanie tanio do odstąpienia angielska stojąca **lokomobila** czterokonna, amerykańska **hyblarka, piła cyrkularna** i **piła do wyrzynania** (Laubsägemaschine). **Stara żelazna** zostaje zawsze we wzajemny rachunek przyjęta, lub podług najwyższej ceny kursu kupiona. 5561-4-1.



Piekarnia
Marcina Czyżeka
we Lwowie



poleca najlepsze pieczywo zwyczajne i luksusowe, krajowe i zagraniczne w ogólności - specjalnie zaś znane z wytwornego smaku i nader łatwej strawności **Sucharki hygieniczne i luksusowe** zalecane Szan. P. T. Publiczności przez pierwszorzędne powagi lekarskie i odszczególnione medalem zasługi na wystawie przyrodniczo-lekarskiej w Krakowie w r. 1891. — jako też codziennie świeży **chleb Grahama.**

Zamówienia na prowincje uskuteczia się odwrotną pocztą.

Sklepy własne: **Rynek l. 37, ul. Jagiellońska l. 6. ul Żółkiewska l. 107.**

Z poważaniem
5536—?—4. **Marcin Czyżek.**

Pracownia sukień męskich (5540 6-3).

Bolesława Mikulińskiego

we Lwowie, przy placu Halickim liczba 12.

przyjmuje do wykonania wszelkie uniformy, wedle ostatniego rozporządzenia dla pp. urzędników kolejowych, na rachunek kasy uniformowej c. k. Dyrekcji kolei państwowej, jakoteż i cywilne suknie, podług najnowszych żurnalów pod bardzo przystępnymi warunkami.

Założono w roku 1837

Założono w roku 1837 | Założono w roku 1837

Kompletne
Wyprawy ślubne

od najskromniejszych do najbogatszych, po cenach stałych, najniższych, poleca magazyn

I. Drexlera i Synów

we Lwowie plac Kapitulny l. 2.

Płótna z fabryki Langera i Synów, Stołowa bielizna z fabryki Regenharta, Łóżka żelazne z fabryki Quittnera, Dywany z fabryki Grossleja z Halifax, oraz wszelką Pościel t. j.: Kołdry, materace włosienne, poduszki, wkładki sprężynowe własnego wyrobu. 5535—12—4.

Założono w roku 1837

Zakład introligatorski

Józefa Tillingera

we Lwowie, przy ul. Karola Ludwika l. 5.

przyjmuje: (5291-st.-11).

wszelkie roboty introligatorskie i galanteryjne, tak hurtownie, jak i pojedyńczo, wykonuje gustownie teki i futerały na adresy, dyplomy itp. Przyjmuje również do oprawy obrazy i fotografje w passe — partout wszelkiego rodzaju, najspieszniej i po cenach bardzo umiarkowanych. **Robota piękna, gustowna, nie ustępująca najwytworniejszej zagranicznej robocie.**

Pracownia obuwia
pod firmą
Adam Werner
w Krakowie

plac Wszystkich Świętych l. 8.

poleca wszelkiego rodzaju na każdą porę z dobrego materjału, elegancko wykonane obuwie, po najprzystępniejszych cenach. Wszelkie zamówienia uskuteczia szybko, ku zupełnemu zadowoleniu Szan. P. T. Odbiorców. (5559 4—1).

A. J. Neuberg
Zegarmistrz
w Jarosławiu.

Skład wszelkich zegarków i zegarów, oraz wielki wybór towarów złotych, srebrnych i jubilerskich.

Wszelkie reperacje tego zawodu wykonuje tanio pod gwarancją. 5551—4—1.

Skład herbaty rosyjskiej
„Rodus"

Kraków, ul. Krupnicza l. 15.

Polece takową po cenie 2, 2·40, 3, 3·60 i 4·80 za funt wagi rosyjskiej

Okruchy najlepsze funt 1·60.

Skład komisowy dla Wiednia:

Albin Krajewski

Wien. I. Giselastrasse 1.
5550—4—1.

Pierwszy

Krajowy zakład
WYROBU GORSETÓW
we Lwowie ul. Jagiellońska l. 2

naprzeciw Kasy Oszczędności.

Wyrabia gorsety najlepszego kroju, jako też hygieniczne; gorsety i szelki do prostego trzymania się i w ogóle wszystko w zakres gorseciarski wchodzące.

Przyjmuje naprawy i pranie takowych. 5562—12—1.

Elektrotechnik-mechanik
EDWARD GOTTLIEB
(przedtem E. Prayer)

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 23

(dawniej gmach pocztowy),

wykonywa telefony, mikrofony, sygnalizacyjne elektryczne, czyli dzwonki domowe, maszyny lekarskie wszelkich systemów. — Zakłada gronochromy na budynkach i wierzach, kontrole elektryczne dla cegielni i fabryk. Podejmuje się konstrukcyj mechanizmów i wynalazków z zachowaniem najściślejszej tajemnicy. — Przyjmuje zamówienia i naprawy wchodzące w zakres fizyki, mechaniki, miernictwa i przyrządy lekarskie — po cenach nader przystępnych. 5563—10—1.

KOKS.

Przy zbliżającej się porze zimowej, mamy zaszczyt zwrócić znowu uwagę Szanownej Publiczności na nasz **Koks łamany.** Cena naszego **Koksu** wynosi za 50 klgr. **70** ct. z wolną dostawą do mieszkań. Potrzebne reperacje i mniejsze przerabiania piecow i kuchni, do opalania naszym

Koksem

wykonujemy bezpłatnie.

Wszelkie zamówienia telefonem lub kartą korespondencyjną będą bezzwłocznie uskutecznione.

Zarząd zakładu gazowego
we Lwowie.

(5481-10-8).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.
Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.